

ISSN 2353-933X

respublica

DAJE DO MYŚLENIA

NR 2/2023



POLSKA NA ROZDROŻU: DEMOKRACJA, AUTORYTARYZM, DECENTRALIZACJA?

PRZYBYLSKI | KASPROWICZ | CHMIELEWSKA-SZLAJFER | JASSER

Spis treści

4:

Tomasz Kasprowicz

CO PO GNICIU?

6:

Adam Jasser

**OPOZYCJA NIE POTRZEBUJE KONTREWOLUCJI.
O ILE WYGRA WYBORY**

13:

Tomasz Kasprowicz

LANIE BETONU

17:

Helena Chmielewska-Szlajfer

**NAJPIERW TRZĘSIENIE ZIEMI, POTEM
ZDECENTRALIZOWANA POLSKA**

23:

Wojciech Przybylski

**DEMOKRACJA W POLSCE NIE UMRZE. JEŚLI
ZDECENTRALIZUJEMY SYSTEM WŁADZY**

26:

Krzysztof Pacewicz

DEMONKRACJA

34:

Iván László Nagy

**VIKTOR ORBÁN: JAK PRZEKUĆ KRYZYS POLITYCZNY
W ZWYCIĘSTWO?**

TOMASZ KASPROWICZ

CO PO GNICIU?

Polska znajduje się w stanie ustrojowego gnicia. Nowy porządek nieliberalnej demokracji nie nastąpił z pomocą reform strukturalnych, ale przez łamanie niezależności, odbieranie finansowania, marginalizację i obsadzanie biernymi, miernymi, ale wiernymi. Miało to wyeliminować „imposybilizm”, ale doprowadziło do chaosu. Najlepszym przykładem jest tu Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej – teoretycznie w całości opanowany przez pisowskich nominatów. Ze względu na wewnętrzne tarcia nie jest on w stanie orzekać. To zaś prowadzi do zasadniczych problemów dla obozu rządzącego uniemożliwiając zawarcie kompromisu z UE w sprawie środków z KPO.

Rozkład postępuje szybciej odkąd PiS stracił znaczącą przewagę w parlamencie i stał się zakładnikiem małych grup, które mogą mu dyktować swoje warunki. Brak silnej ręki i rozproszenie uwagi kierownictwa państwa powoduje, że osoby mające swoje ambicje i animozje chętniej realizują projekty własne a nie Jarosława Kaczyńskiego. Stąd coraz bardziej desperackie próby narzucenia woli kierownictwa PiS: czy to za pomocą wymuszenia zmniejszenia składu pełnego Trybunału czy też wprowadzenia sądu kapturowego. Jednak każdy kolejny ruch grzeźnie pokazując niemoc, a nie sprawczość.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że taki stan będzie trwał jeszcze jakiś czas – zwłaszcza jeśli wyniki jesiennych wyborów parlamentarnych nie przyniosą rozstrzygnięcia. Posprzątanie tego bałaganu wymaga sporej siły i determinacji. W najnowszym wydaniu „Res Publici Nowej” zajmujemy się jednak tym, jak może wyglądać ten nowy porządek.

Pierwszy scenariusz opisuje powrót na ścieżkę w kierunku autorytaryzmu i to, jak może wyglądać ostateczne zabetonowanie systemu na modłę turecką. Aby ukazać szerszy kontekst tej wizji, publikujemy artykuł Ivána László Nagy’a opisującego jak to zrobiono nad Dunajem. Na marginesie, warto zauważyć, że „Res Publica” przewidywała taki obrót wydarzeń już dawno: właśnie dlatego przypominamy tekst Krzysztofa

Pacewicza z 2016 r. Jego lektura pokazuje, jak niewiele się zmieniło od tego czasu w ocenie naszej sceny politycznej.

Jednak rozpatrujemy także dwa inne scenariusze. Po pierwsze zwycięstwo opozycji i to, jak może wyglądać próba przywrócenia w Polsce porządku demokratycznego. O tej trudnej drodze pisze Adam Jasser.

Jest też trzecia ścieżka – pomysł na decentralizację Polski jako antidotum na nasze wewnętrzne podziały. O tym pisze Helena Chmielewska-Szlajfer. Decentralizacja kojarzy się jej przeciwnikom z osłabieniem państwa i jego potencjalnym rozpadem. O tym, dlaczego może ona wręcz wzmocnić Polskę pisze Wojciech Przybylski.

Nie wiemy, którą drogą pójdzie Polska. Warto jednak zastanowić się nad tym, co nas czeka na końcu każdej z nich. Dlatego zapraszamy do lektury, bo „Res Publica” znowu daje do myślenia.

TOMASZ KASPROWICZ – redaktor naczelny „Res Publici Nowej”.

ADAM JASSER

OPOZYCJA NIE POTRZEBUJE KONTRREWOLUCJI.

O ILE WYGRA WYBORY

W filmie Janusza Machulskiego „Vabank”, jedna z moich ulubionych scen to moment, kiedy stary kasiarz Henryk Kwinto rekrutuje dwóch entuzjastycznych kandydatów na gangsterów: Moksę i Nutę. Po wydaniu im kilku poleceń, rzuca na koniec: „Żadnych własnych pomysłów”!

Hasło to można zastosować w odpowiedzi na ambitne podpowiedzi publicystyczno-eksperckie na to, co opozycja ma zrobić po ewentualnie wygranych wyborach. Pomijając już fakt, że rozważania takie są zdecydowanie przedwcześnie ze względu na nadal silne poparcie dla PiS i nierówne pole gry wyborczej, to znaczna część propozycji jawi się jako marzenia senne.

Przyjęcie maksymalistycznych, szerokich celów nieuchronnie skończy się porażką z wielu różnych powodów. Jednym z nich jest bardzo prawdopodobny brak konstytucyjnej większości, bez której opozycja musiałaby „w dobrej sprawie” stosować metody PiS.

Dlatego kluczem do przełomu po przejęciu władzy powinno być skoncentrowanie się przyszłego rządu i premiera na wykorzystaniu olbrzymiej władzy, jaką obecna konstytucja i ustawy dają szefowi rządu i jego ministrom oraz skupienie się na tym, co może przynieść rezultaty.

SZKODLIWE NARRACJE

W debacie publicznej często można spotkać się z oczekiwaniem, że opozycja dokona „kontrrewolucji” aby przywrócić w Polsce rządy prawa, niezależność instytucji takich jak Trybunał Konstytucyjny, bank centralny czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Do tego dochodzą żądania części ekonomistów, żeby opozycja radykalnie skorygowała kurs gospodarczy, czyli „uzdrowiła” finanse publiczne likwidując „rozdawnictwo”, oraz sprywatyzowała spółki skarbu państwa. To ma zabezpieczyć je przed zawładnięciem przez krewnych i znajomych z PiS.

Z drugiej strony skali funkcjonuje pogląd, że wyborcy opozycji są głupi, wierząc, że cokolwiek się zmieni po wygranych wyborach. Grzegorz Sroczyński, samozwańczy guru polskich symetrystów, przekonywał niedawno, że opozycja nie będzie w stanie zmienić nawet paskowych w TVP oraz wysmiewał tezę, że w nadchodzących wyborach chodzi o przyszłość demokracji (ciekawe czy słyszał o Węgrzech i Turcji). Przy okazji podał w wątpliwość możliwość prowadzenia przez opozycję zrównoważonej polityki gospodarczej i zagranicznej, ze względu na sprzeczne komunikaty dotyczące 500 plus oraz nadmierną uległość Niemcom, co jest kuriozalnym oskarżeniem pokazującym jedynie jak skuteczna jest PiS-owska propaganda nawet wobec krytycznie myślących osób.

Jednym słowem nic się nie zmieni, nie warto nawet iść na wybory. Zarówno oczekiwania kontrrewolucji oraz symetryzm – są błędne i szkodliwe dla Polski. Obie idee muszą prowadzić do demobilizacji istotnej części elektoratu demokratycznego i proeuropejskiego. W istocie korzysta na nich partia władzy, ponieważ grożą one utrwaleniem się „dobro-zmianowego dryfu” Polski w kierunku demokracji, oligarchii i izolacji.

KONIAK A SPRAWA POLSKA

Adam Michnik – od jakiegoś czasu wielki nieobecny polskiej dyskusji o przyszłości, w jednym z wywiadów (jeszcze przed 2015 r.) – żartobliwie ale precyzyjnie – opisał problem polskiej polityki. Parafrazując, powiedział, że jeżeli chodzi o preferencje wyborcze, to Polacy zastanawiając się, na którą partię oddać głos chcieliby się napić koniaku, a do wyboru jest tylko kawa i herbata. Dzisiaj niestety oprócz kawy i

herbaty jest jeszcze bardzo kwaśny sok z ogórków, ale istota diagnozy się nie zmienia: znaczna część liderów opinii w Polsce kształtuje oczekiwania Polaków według zasady „koniak albo nic”.

A jednak pomiędzy idealistycznym maksymalizmem, a paraliżującym relatywizmem jest ogromna przestrzeń do dokonania przez opozycję istotnego zwrotu w polityce krajowej i zagranicznej po myśli większości polskiego społeczeństwa. Do powstrzymania degradacji polskiej demokracji i pozycji międzynarodowej Polski, do przywrócenia podstawowych norm przyzwoitości w życiu publicznym, ograniczenia samowoli władzy i jej rozliczalności.

Biorąc pod uwagę blokady, jakie PiS pozostawi po sobie we wszystkich instytucjach kadencyjnych związanych z prawodawstwem oraz oczywistą w świetle Lex Tusk obstrukcją prezydenta, przyszły rząd powinien przede wszystkim skoncentrować się na działaniach wykonawczych.

Oczywiście zmiany ustawowe też trzeba podejmować, ale warto studzić zapał co do ich radykalizmu – weto prezydenckie i obstrukcja pseudo-Trybunału Konstytucyjnego uniemożliwią uchwalenie ambitnych ustaw przez parlament. Stąd oczekiwania, że opozycja przedstawi szczegółowy i obszerny „Program sprzątnięcia po PiS-ie” świadczy o oderwaniu od realiów. Jakie jest bowiem prawdopodobieństwo, że uda się uzdrowić Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy, kiedy nawet najlepiej przygotowane ustawy z udziałem ekspertów i sektora pozarządowego zostaną zawetowane? Brutalna prawda jest taka, że znaczna część instytucji może zostać odbudowana dopiero gdy wygasną obecne kadencje, czyli pod koniec nowego Sejmu lub dopiero w kolejnym rozdaniu. Proces może jednak przyspieszyć, jeżeli osobom, które piastują niektóre skrajnie upolitycznione urzędy przedstawione zostaną zarzuty o łamanie prawa. I od tego trzeba zacząć.

POSTĘPOWANIA PROKURATORSKIE

Przywracanie praworządności zależy nie tyle od zmian instytucjonalnych, ale skorzystania z istniejących mechanizmów. Kluczowym zadaniem dla nowej władzy będzie skoncentrowanie się na odblokowaniu skuteczności organów ścigania – policji, ABW, CBA i prokuratury, które w tej chwili ochraniają interesy partii rządzącej zamiast

ścigać przestępstwa lub obcych agentów. Na szefów wszystkich agencji bezpieczeństwa zależnych od premiera powinni zostać powołani profesjonalni, doświadczeni i zdeterminowani ludzie, którzy dowiedli swojej niezłomności i siły charakteru w ostatnich latach. Minister sprawiedliwości, którym powinna zostać osoba ciesząca się szacunkiem środowisk prawniczych a równocześnie odległa od partyjnej polityki – powinien powołać zespoły prokuratorskie w kluczowych obszarach: łamania prawa i konstytucji przez funkcjonariuszy publicznych, naruszeń praw człowieka, afer gospodarczych i korupcji, nieprawidłowości przy dysponowaniu funduszami publicznymi, zarządzaniem spółkami skarbu państwa.

Równolegle powinny w Sejmie powstać komisje specjalne do badania nadużyć władzy we wszystkich wyżej wspomnianych obszarach. Ustalenia Komisji, funkcjonujących zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami, miałyby kluczowe znaczenie dla informowania opinii publicznej oraz pozwalałoby parlamentowi dodatkowo mobilizować prokuraturę, wyzwoloną spod kagańca ministra Ziobry, do energicznych działań.

Kolejnym obszarem interwencji będą media publiczne. Tu sytuacja może być utrudniona ze względu na rolę opanowanej przez PiS Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Ale znów zamiast prób ustawowych zmian, należy zastosować dostępne prerogatywy wykonawcze rządu.

Nie mam cienia wątpliwości, że rząd jest w stanie w sposób radykalny uzdrowić sytuację. Docelowo, przyszłość mediów publicznych powinna być przedmiotem głębszej dyskusji społecznej. Na wzór angielski, rząd powinien w tym celu powołać specjalną komisję pod przewodnictwem doświadczonego autorytetu z obszaru praw człowieka, jawności i spraw obywatelskich, której zadaniem byłoby przedstawić „białą księgę” dotyczącą możliwych opcji trwałego przywrócenia publicznego charakteru mediom państwowym. Opcje te w następnym kroku powinny stać się przedmiotem ogólnonarodowego referendum, a to powinno z kolei doprowadzić do rozwiązań ustawowych.

PRZETESTUJMY REFERENDA

Referenda w Polsce mają złą sławę ze względu na niską frekwencję oraz tendencję do wykorzystywania ich przez ekstremalne głosy w debacie publicznej. Ale w sytuacji kryzysu demokracji, w jakim znalazła się Polska, narzędzie to powinno być wykorzystywane przez nowy rząd. Byłoby to skuteczne antidotum na przywłaszczenie sobie roli „suwerena” przez PiS, który pomimo, iż nigdy nie zdobył większości głosów w wyborach parlamentarnych, wykreował się na jedyne uprawnionego reprezentanta większości Polaków. Pozostałe partie i ich wyborcy to według Kaczyńskiego ciało obce, które przypadkowo dochodzi do głosu i uzurpuje sobie prawo do rządzenia. Referenda byłby sposobem na przebicie tej bańki (tak jak referendum akcesyjne obaliło mit o tym, że Polacy nie chcą wejść do Unii Europejskiej).

Kluczowym argumentem, jest jednak to, że jeżeli Polacy z czasem oswoiliby się z narzędziem referendalnym, wzmocniłoby to nadwątlone zaufanie do demokracji i mogłoby przyczynić się do przelamywania politycznego klinczu, na przykład w sprawie przyjęcia euro lub liberalizacji aborcji, która, nawet jeżeli zostanie uchwalona przez parlament, spotka się z wetem prezydenta Dudy.

GOSPODARKA DA RADE

Jest oczywistą oczywistością, że nowy rząd miałby też pełne ręce roboty przywracając Polsce należne jej miejsce i znaczenie w strukturach Unii. Odbudowa pozycji Polski, uczestniczenie w pracach UE leży w znacznym stopniu w gestii premiera i jego ministrów. W gospodarce, oczekiwania radykalnych reform (obniżanie podatków, prywatyzacja, służba zdrowia) powinny trafić na półkę. Partie opozycyjne składają co prawda różne ambitne (i czasem wzajemnie wykluczające się) obietnice, w znacznej części pod presją części mediów i ekspertów traktujących zbliżające się wybory jako normalną konkurencję wyborczą. To, czy osiągną kompromisy po wyborach nie ma większego znaczenia, bo na koniec zmiany ustawowe trafiają na biurko prezydenta, a tam weto wobec jakichkolwiek sensownych propozycji jest prawie pewne.

Ze swojej praktyki w centrum rządu w latach 2010–2014 wiem jak silna jest iluzja, że na każde wyzwanie rządu, najlepszym rozwiązaniem jest uchwalenie ustawy.

Często rozwiązania leżą w gestii ministrów lub urzędów w ramach istniejących norm prawnych.

Dotyczy to na przykład przywrócenia korporacyjnych standardów zarządzania spółkami skarbu państwa. I nie chodzi tu tylko o wyczyszczenie zarządów i rad nadzorczych z niekompetentnych partyjnych i rodzinnych nominatów, ale o przywrócenie ich funkcjonowania jako giełdowych spółek publicznych, a nie finansowego zaplecza rządzącej partii. W znacznym stopniu będzie to zależało od nowego ministra skarbu, ale także determinacji premiera by zapobiec zwykłej wymianie jednych partyjnych kadr na drugie.

Kluczowe znaczenie będzie miało ograniczenie samowoli skarbu państwa jako akcjonariusza i zwiększenie roli inwestorów instytucjonalnych w radach nadzorczych najważniejszych spółek, takich jak Orlen, KGHM czy banki. Potwierdzone kompetencje, doświadczenie menedżerskie z sektora prywatnego powinno być podstawowym kryterium doboru zarządów. Wszystkie mniejsze firmy powinny jak najszybciej trafić w ręce inwestorów prywatnych lub pracowników i menadżerów. Presja na pełną prywatyzację kluczowych podmiotów może się wydawać zrozumiała w kontekście tego, jak PiS nimi zarządzał przez osiem lat, ale byłby to błąd z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa i samobój polityczny – większość Polaków nie akceptuje pełnej prywatyzacji, która w polskich warunkach musiałaby oznaczać sprzedaż kluczowych firm podmiotom zagranicznym. Utrzymanie pakietów kontrolnych takich przedsiębiorstw w gestii publicznej nie musi stać w sprzeczności z zarządzaniem nimi w sposób profesjonalny i zgodny ze standardami sektora prywatnego, co pokazują kraje takie jak Norwegia czy Singapur. Polski Fundusz Rozwoju można przekształcić w instytucję działającą w znacznej mierze autonomicznie jako notowany na giełdzie i profesjonalnie zarządzany „sovereign wealth fund”.

KATASTROFA FISKALNA NAM NIE GROZI

Wbrew często rozpowszechnianej narracji, radykalizm nie będzie również potrzebny przy uzdrawianiu finansów publicznych. Wysoka inflacja ostatnich dwóch lat w znacznej części „zjadła” część przyrostu zadłużenia, a relacja długu do PKB pozostaje stabilna. Oczywiście bardzo dużo zależy od otoczenia wokół Polski, ale jak na razie

wygląda na to, że gospodarka światowa uniknie głębokiej recesji. Wszystkie lekcje z ostatnich kryzysów pokazują, że kluczem do poprawy finansów publicznych jest przede wszystkim utrzymanie tempa wzrostu gospodarczego w oparciu o inwestycje. Odblokowanie miliardów euro z funduszy europejskich oraz wykorzystanie ich do przyspieszenia transformacji energetycznej są zatem kluczowe. Wyrwanie się z zaciskaniem pasa na zapas byłoby zarówno ekonomicznym jak i politycznym samobójem. Wbrew alarmistycznym wypowiedziom części ekonomistów, Polska gospodarka nadal będzie szła siłą rozpędu, a samo przywrócenie rządów prawa i poprawa otoczenia regulacyjnego zależnego od rządu da impuls rozwojowy. Prawdopodobne wzmocnienie złotego w reakcji na odwieszenie środków z KPO pozwoli również szybciej schłodzić inflację.

Można sobie oczywiście wyobrazić, że nowy rząd będzie miał w Sejmie zdecydowaną większość i będzie w stanie uchylić prezydenckie weto. Wtedy będzie można proces sprzątnięcia po PiS przyspieszyć. Ale żeby tak się stało, partie opozycyjne powinny się przede wszystkim przestać szarpać same ze sobą oraz udawać że walczą o „programy” zamiast o odsunięcie od władzy najgorszej ekipy od 1989 r. Nie zaszkodziłoby gdyby także elity gospodarcze i opiniotwórcze nie kreśliły wobec opozycji zbyt wygórowanych oczekiwań. Bo nie będzie ani kawy, herbaty, ani tym bardziej koniaku. Tylko kwaśny sok z ogórków.

ADAM JASSER – zastępca redaktora prowadzącego „Visegrad Insight”.

Były szef UOKiK i sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, gdzie pełnił rolę sekretarza Rady Gospodarczej. W latach 2009–2010 dyrektor programowy Fundacji DemosEuropa, a przedtem dziennikarz i redaktor Agencji Reutersa w biurach w Polsce, Finlandii, Niemczech oraz w Europie Centralnej i na Bałkanach.

TOMASZ KASPROWICZ

LANIE BETONU

Najbardziej prawdopodobny scenariusz dla Polski na nadchodzące lata to gnicie. Czy będziemy mieli do czynienia ze słabym rządem PiS czy też opozycji, ustrój pozostanie głęboko dysfunkcyjny.

Większość instytucji państwowych niezależnych od rządu i parlamentu została zdemolowana, w części panuje chaos – wszystko to by zniszczyć „imposybilizm” przeszkadzający silnej władzy wykonawczej. Jeśli jednak jej braknie, chaos z wnętrza instytucji rozlewa się na całe państwo. Obserwujemy to już od czasu kiedy PiS osłabił jeszcze w tej kadencji i dziś nie jest w stanie utrzymać w ryzach nawet, obsadzonego przez siebie, Trybunału Konstytucyjnego magister Julii Przyłębskiej.

Można jednak wyobrazić sobie scenariusz gorszy niż gnicie – ostateczny porządek. Bowiem chaos w najważniejszych instytucjach miał być tylko krokiem przejściowym. Ostatecznym celem było ich całkowite podporządkowanie po tym jak ich autorytet i siła wyczerpią się. Nie wszystkie da się w końcu przejąć szybko i łatwo. Okazuje się, że nawet „swoi”, postawieni wysoko ludzie, czasem zaczynają czuć potrzebę niezależności i wpływu. To zaś oznacza dla dyktatorów kłopoty. Najważniejsze stanowiska należy obsadzić najwierniejszymi, tych jednak jest za mało. Nową kadrę w pełni uzależnionych i podporządkowanych trzeba najpierw wykształcić i co ważniejsze złamać. Dopiero wtedy system domyka się ostatecznie.

WARSZAWA ŻĄDA PRZYNAJMNIEJ BUDAPESZTU!

Ścieżkę do takiego celu wyznaczył dobre dwie dekady temu Władimir Władymirowicz. Od tego czasu udoskonalają je Erdoğan i Orbán. Musieli sobie oni poradzić z krajami o znacznie silniejszych instytucjach demokratycznych niż Rosja

kiedykolwiek posiadała. Nie bez przyczyny Kaczyński powiedział, że będziemy mieli „Budapeszt w Warszawie” – droga do Moskwy wiedzie przez Budapeszt właśnie.

Wydaje się, że PiS kroczy wyznaczoną ścieżką dzielnie i jeśli na niej zwalnia to nie z braku chęci, ale z braku możliwości. Wraz z rozkładem tego środowiska słabnie kontrola partii nad centrum państwa. To zaś pozwalało przedłużać opór ostatnich ostoi niezależności wspieranych silniej niż w przypadku Węgier przez instytucje unijne. W Brukseli także odrobiono pracę domową i instytucje unijne nie przymykają oczu tak jak to miało miejsce w przypadku Węgier.

Dość łatwo jednak możemy wyobrazić sobie scenariusz, w którym PiS odzyskuje po wyborach znaczącą większość – czy to samodzielnie, czy to do spółki z Konfederacją. Z tą ostatnią, mimo wielu różnic zasadniczych, połączyć go może wspólny interes wykluczenia Polski ze struktur Unii Europejskiej. Tak odzyskana „suwerenność” jest potrzebna w jednym tylko celu – szybkim dokończeniu transformacji ustrojowej w Polsce w kierunku autorytaryzmu zwanego dzisiaj „demokracją nieliberalną”. To, która z prawicowych sił mogłaby przejąć tak przekształconą Polskę, można rozstrzygnąć później.

IGNOROWANIE

By transformacja się dokonała, konieczne byłoby zneutralizowanie w pierwszej kolejności dwóch czynników zewnętrznych: UE i USA. Formalny Polexit wydaje się mało prawdopodobny w świetle wielkiej popularności Unii. Lata jej podkopywania przez maszynę propagandową PiS nie dały właściwie żadnego efektu. Nie pomógł przekaz o jedzeniu robaków i zakazie używania aut spalinowych. Teraz spodziewamy się ataku na bazie wspólnej polityki migracyjnej. Nie da się wykluczyć, że tym razem będzie ona bardziej skuteczna. Ale nawet jeśli Polaków do Unii zniechęcić się nie uda, są inne metody – już dziś rozwijane przez władzę Prawa i Sprawiedliwości. Sprowadzają się one zasadniczo do ignorowania wszystkiego, co instytucje unijne mówią, a polskiej władzy się nie podoba – z wszystkimi tego konsekwencjami. Płacimy milionowe kary i godzimy się na kompletną izolację i brak wpływu na działania Unii. Tym samym znaleźlibyśmy się poza UE w każdym sensie poza formalnym, utrzymywani w tym limbo poprzez taktyczny sojusz z Węgrami.

O ile UE można (dużym kosztem) ignorować, o tyle dużo trudniej to zrobić z Amerykanami. W obecnej sytuacji są oni naszymi jedynymi gwarantami bezpieczeństwa. Nie można ich zatem lekceważyć ani obrazić. Rząd PiS próbował ich przekupić zakupami uzbrojenia licząc na wyrozumiałość dla swoich antydemokratycznych działań. Wiele sygnałów płynących z USA – w tym ostatnie po uchwaleniu Lex Tusk wyraźnie pokazują, że to nie działa. Jednak potencjalna wygrana Donalda Trumpa w następnych wyborach może tę sytuację zmienić. W końcu wierzy on w transakcyjne podejście do polityki międzynarodowej.

BIZNES „AS USUAL”

To, co się jednak nie zmieni to fakt, że Amerykanie zawsze będą bronić własnych interesów. To zaś koliduje z kolejnym istotnym krokiem transformacji. Kompletna dominacja nad przestrzenią informacyjną to podstawa neoliberalnych demokracji. Pozwala ona dowolnie kształtować narrację i eliminować opozycję. Obecność TVN jest tu jednak znaczącą przeszkodą, zaś jego amerykańscy właściciele skutecznie wykorzystują wpływy amerykańskie by zabezpieczać stację przed kolejnymi zakusami władzy. Dlatego Lex TVN przepadło. Interesy pozostają jednak interesami i sprowadzają się do pieniędzy. Jednym z pierwszych działań nowej silnej władzy będzie odkupienie TVN – choćby i za podwójną wartość rynkową.

Co ciekawe, TVN stałoby się wówczas kolejną telewizją państwową bowiem polska droga różni się zasadniczo od węgierskiej w jednym punkcie. Orbán zbudował klasę uzależnionych od siebie oligarchów. Ludzi bogatych i w pełni z nim powiązanych. Oni zajęli się chociażby wykupem mediów i zamianą ich w rządowe tuby propagandowe – jednocześnie zachowując pozory niezależności tychże mediów – w końcu są prywatne. Jarosław Kaczyński taką drogą nie może pójść. Oczywiście pozwolił swoim kraść miliony, a nawet dziesiątki milionów – w zamian za wierność. Taka kwota pozwala ustawić sobie wygodne życie, ale nie przejmować jedną z większych stacji telewizyjnych w Polsce – do tego po zawyżonych cenach.

Dlaczego Kaczyński zdecydował się na niebudowanie w Polsce oligarchii? Nie wiemy. Prawdopodobnie wynika to z jego paranoicznej (i uzasadnionej często) podejrzliwości wobec ludzi, którzy mogliby stać się od niego niezależni. Każdy

oligarcha, nawet swój, jest jednocześnie potencjalnym zagrożeniem. Dlatego Kaczyński woli nacjonalizować by mieć zasoby pod swoją polityczną kontrolą – czyli na odwrót do „prywatyzującego” publiczny majątek Orbána. To dość szczęśliwa dla nas okoliczność bo zmiany w kierunku oligarchii są często bardzo trudne do odwrócenia – co innego reformowanie instytucji, co innego walka z prawem własności – nawet nabytej w wątpliwy sposób. Ewentualne zniknięcie Kaczyńskiego z polityki po wyborach może usunąć i ten bezpiecznik. Byli wójtowie z Pcimia mogą się stać nie tylko prezesami imperiów, ale ich właścicielami.

Te trzy ruchy: odcięcie się od wpływów zewnętrznych, stworzenie oligarchii oraz domknięcie przestrzeni medialnej dalyby nowej władzy wszelkie niezbędne narzędzia do opanowania systemu. Ostatnie opierające się ośrodki: w sądownictwie, akademii czy społeczeństwie obywatelskim zostałyby ostatecznie spacyfikowane, a ich resztki służyły jako niezbędne cele dla maszyny propagandowej. W końcu konieczne jest posiadanie wewnętrznych wrogów, na których można zrzucić winę za wszelkie utrudnienia i niepowodzenia. Jednocześnie, stłamszona opozycja nie będzie w stanie przejąć władzy nawet jeśli się zjednoczy i jeśli kraj pogrąży się w ekonomicznym kryzysie. Nie udało się to ani na Węgrzech ani w Turcji – mimo, że do ostatniej chwili wydawało się możliwe. W ten sposób zabetonowany zostanie ostatecznie ustrój nieliberalnej demokracji w Polsce.

Jak go odbetonować? To już zupełnie inne pytanie, na które nie znamy jeszcze odpowiedzi – gdyż jeszcze nigdzie się to nie udało.

TOMASZ KASPROWICZ – redaktor naczelny „Res Publici Nowej”. Publicysta ekonomiczny, wiceprzewodniczący Fundacji Res Publica. Doktor finansów specjalizujący się w instrumentach pochodnych i zarządzaniu ryzykiem. Wykładowca akademicki.

HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER

NAJPIERW TRZĘSIENIE ZIEMI, POTEM ZDECENTRALIZOWANA POLSKA

Pomysł decentralizacji władzy jest śmiały. Choć politycy w kampaniach wyborczych stale obiecują upraszczanie reguł, przejrzystość sprawowania władzy i oddanie kontroli nad włodarzami w ręce obywateli, urzeczywistnienie tych obietnic wymaga nie lada odwagi politycznej, która – po prawdzie – występuje nieczęsto.

Raz, że politycy niechętnie dzielą się władzą, a dwa, co za tym idzie, mają obawy, że bez ich centralnego nadzoru z Warszawy obywatele nie będą w stanie sami sobą zarządzać. Kluczowe jest więc pytanie, jakie warunki są niezbędne do tego, by przelamać tę niemoc i niechęć włodarzy? Na kanwie decentralizacyjnej idei zawartej w książce *Umówmy się na Polskę* proponuję pięć scenariuszy – ćwiczeń z politycznej wyobraźni.

Wdrażanie reguł samorządności w Polsce po 1989 r. miało swoje dwa przełomowe momenty: najpierw w 1990 r., kiedy utworzono gminy i dziewięć lat później, kiedy w ramach jednej z czterech wielkich reform powstało szesnaście województw. Od tego czasu samorządy niezmiennie cieszą się znacząco wyższym zaufaniem społecznym niż władza centralna.

Czas więc na trzeci decentralizacyjny krok, który przeniesie nie tylko zadania, ale również ich finansowanie na poziom samorządowy, wzmocni kontrolną siłę obywateli i obywateli, zlikwiduje stanowiska wojewodów w roli rządowych nadzorców samorządów, za to Senat zmieni w izbę najwyższych przedstawicieli województw i zwiększy kompetencje prezydenta Polski jako zwierzchnika samorządów. Co więcej, decentralizacja przyczyni się do skoncentrowania władzy centralnej na kluczowych

kwestiach dla państwa, ukrócając spory o kwestie, które co najmniej równie dobrze – a często lepiej – są w stanie rozwiązać województwa.

NOWE ZASADY, STARA MENTALNOŚĆ

Tak zasadniczą zmianę reguł trudno przelknąć władzy o centralistycznych i coraz bardziej autorytarnych ambicjach, z którą niewątpliwie mamy dziś do czynienia. Mimo szafowania hasłami o demokracji, dla rządzących niezależne i cieszące się zaufaniem społecznym samorządy to konkurencja i zagrożenie. Dlatego sukcesywnie odbierają samorządom zdolność realnego zarządzania, zmniejszając ich budżety między innymi przez obniżanie podatków, jednocześnie przerzucając na nie coraz więcej zadań, czy to związanych z pandemią Covid-19, czy to z pomocą uchodźcom z Ukrainy, nie wspominając o kwestiach takich jak na przykład edukacja czy mieszkalnictwo. Wszystko to ma pokazać, że samorządy nie są w stanie skutecznie same zarządzać – potrzebna jest protekcja przedstawicieli władz centralnych. Jednak dotychczas zabiegi te nie były w stanie obniżyć wysokiej pozycji samorządów w rankingu zaufania społecznego. Samorządy, niczym przysłowiowa koszula, nadal bliższe są obywatelskiemu ciału, nawet od wozów strażackich arbitralnie niedawno „darowanych” (z pieniędzy podatników) wybranym gminom przez premiera.

Dzieje się tak ponieważ samorządy w dużej mierze żyją konkretnymi sprawami do załatwienia, gdzie kompromisy są niezbędne. Tymczasem na poziomie centralnym politykom bardziej oplaca się polaryzacja, która spłaszcza i zaciera realne, złożone problemy, sprowadzając je do ideologicznej dychotomii „jesteś z nami albo przeciwko nam”.

Nie trzeba uważnie śledzić sprawozdań sejmowych, żeby wiedzieć, że parlamentaryzm ostatnich dwóch kadencji to przykry spektakl przepychania niedopracowanych, niekonsultowanych ustaw, głosowań w środku nocy, z „reasumpcją”, jeżeli wynik nie zgadza się z oczekiwaniami władzy, wreszcie bez woli wypracowania choćby minimum zgody z parlamentarzystami reprezentujących obywateli, którzy za obecnym rządem nie głosowali. Zwycięzca bierze wszystko, a myślących inaczej wyrzuca poza nawias – procedowania ustaw, zasad konstytucyjnych,

narodowej wspólnoty. To przepis na dalsze podziały na linii my-oni i na wykluczenie połowy społeczeństwa.

Jak w tej sytuacji wcielić trzeci decentralizacyjny krok, dopełniający reformy samorządowe rozpoczęte w latach 90.? Komu wśród polityków może się ta głęboka reforma ustrojowa opłacać? Jakie są warunki brzegowe jej powodzenia? Nie da się ukryć: wszystkie są trudne, wszystkie wymagają odwagi i jednocześnie wszystkie dają szansę politykom zapisać się w annałach jako wielcy demokratyczni reformatorzy.

WŁADZY RAZ ZDOBYTEJ NIE ODDAMY!

Na początek żadnych złudzeń, Panowie i Panie, rządzący nie mają żadnego interesu w dzieleniu się władzą z innymi, ponieważ cały ich model zarządzania oparty jest na systematycznym wasalizowaniu obywateli. Jednocześnie, w tej strukturze władzy najmocniejszym i jednocześnie najsłabszym ogniwem jest niezmiennie Jarosław Kaczyński, mimo że nie pełni rządowych funkcji. Jest niezbędnym nadzorcą własnej partii, więc jego brak byłby dla niej żywotnym zagrożeniem. Publicznie dyskutowane problemy zdrowotne prezesa PiS każą jednak zadać sobie pytanie o stabilność autorytarnego ustroju – do którego stworzenia Kaczyński niedawno otwarcie się przyznał – po ewentualnej emeryturze lidera.

Problem ten Polska zna z historii międzywojennej. Autorytarny ustrój sanacyjny, w swej istocie podobny do ustroju Polski PiS, nie stworzył po chorobie i śmierci Józefa Piłsudskiego silnego państwa, a jego groteskowe przeciwieństwo. I teraz istnieje duże prawdopodobieństwo, że bez autorytetu Kaczyńskiego układanka podległości w jego własnym obozie się posypie, a musztra i przekazy dnia zamienią się w chaos indywidualnych, wreszcie uwolnionych ambicji.

SCENARIUSZE DLA POLSKI ZDECENTRALIZOWANEJ

Dlatego pierwszy scenariusz stwarza nowe możliwości dla dwóch grup: ambitnych polityków z obozu władzy, ale z drugiego, trzeciego, czwartego szeregu, którzy dotychczas nie mieli wiele do powiedzenia. Dla nich decentralizacja jest polityczną szansą zaistnienia i realnego politycznego wpływu, wykorzystując resztki władzy sypiącej się, ale nadal rządzącej partii do przeprowadzenia reform i

przekierowania swoich karier do samorządów. To, rzecz jasna, niezwykle optymistyczna wersja wydarzeń, gdzie reformatorzy pochodzą z partii władzy.

W drugiej, powiązanej wersji osłabienie obecnego obozu rządzącego stwarza nowe możliwości dla opozycji, która może wykorzystać rozsypujący się rząd do forsowania fundamentalnych zmian, ramię w ramię z dezertkami z partii władzy, w imię czyszczenia politycznego bagna.

Kluczowe wydaje się to, że w imię decentralizacji jedni i drudzy muszą wykazać się przemyślnością sięgającą dalej niż najbliższe wybory, w innym bowiem wypadku kolejne mogą ponownie odwrócić szalę w dotychczasowej spolaryzowanej logice. Politykom, pragnącym zachować przynajmniej część sprawczości, decentralizacja po prostu się oplaca. Jeżeli władza nie koncentruje się jedynie w Warszawie, ale jest rozproszona w samorządach, utrata głosów na Wiejskiej nie oznacza kompletnej klęski.

W trzecim scenariuszu, mimo nieuczciwych zagrywek partii rządzącej, opozycja wygrywa wybory. Może tak być także z powodu nieustająco dającej w kość drożyzny, która powoduje, że sympatycy obecnej władzy mniej licznie udają się do urn. Nawet ograniczenie prawa do głosowania za granicą nie wystarcza do zapewnienia rządzącym należytego wyniku. Zwycięska dotychczasowa opozycja zdaje sobie jednak sprawę, że naprawa gospodarki i prawa, a także poprawa sytuacji za naszą wschodnią granicą mogą wymagać więcej czasu niż jedna kadencja, więc pragmatycznym rozwiązaniem będzie zdecentralizowanie władzy tak, by nie utracić jej całkowicie po czterech latach, a owoce reform oddać kolejnym nowym (starym) rządzącym, jak miało to miejsce na przykład w 2015 r.

Czwarty wariant to czarna labędz. Trudno liczyć na cuda i katastrofy, ale w ostatnich dekadach zdarzają się niepokojąco często – począwszy od katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem w 2010 r., przez Brexit w Wielkiej Brytanii i wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych w 2016 r., po pandemię Covid-19 cztery lata później i, wreszcie, agresję Rosji na Ukrainę w roku 2022. Do tego można dorzucić niedawną zagubioną rosyjską rakietę pod Bydgoszczą, nagle pogarszający się stan zdrowia (w momencie pisania tego tekstu) prezydenta Aleksandra Łukaszenki, co stanowi zapowiedź jeszcze większych niepokojów na wschodniej granicy, a na naszym własnym podwórku zaaprobowaną przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawę o

Państwowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022 i, w odpowiedzi, największy, bo półmilionowy, marsz protestacyjny od 1989 r., który przeszedł ulicami Warszawy.

Niespodziewane wydarzenie, dajmy na to atak hackerski paralizujący systemy bankowe, raptem odcinający od pieniędzy miliony Polaków, to iskra zapalająca lont już „rozwibrowanych” podstaw prawa i bezpieczeństwa wewnętrznego oraz międzynarodowego. Może to być również to scenariusz siłowy: rządzący w obawie przed utratą władzy wprowadzają stan wyjątkowy. W odpowiedzi obywatele buntują się, już nie tylko przeciw rządowi i ograniczeniom swobód obywatelskich, ale przede wszystkim przeciw odebraniu im prawa wyboru władzy w wyborach. Po kilku tygodniach resorty siłowe również odmawiają współpracy, a sytuacja wywołuje tak silny wstrząs polityczny, że jedynym wyjściem jest głęboka i szybka zmiana fundamentów państwa, która uzyska poparcie społeczne: decentralizacja.

Piąty scenariusz to pojawienie się kolejnego trzeciego gracza – świeżej krwi na scenie politycznej. Ta nowa trzecia siła, stale pojawiająca się w polskiej polityce w okolicach wyborów, jak np. Ruch Palikota, Kukiz '15, czy Hołownia 2050, przewraca stolik imposybilizmu i stawia na decentralizację. Pozostałe partie, postawione pod ścianą – podobnie jak miało to miejsce w przypadku prezydenta Bronisława Komorowskiego w 2015 r., który uległ propozycji jednomandatowych okręgów wyborczych Pawła Kukiza – deklarują, że po wyborach wdrożą zmiany decentralizacyjne. Rozbudzone nadzieje wyborców powodują, że partie nie mogą się z tej obietnicy łatwo wycofać.

W obecnej niewesołej, spolaryzowanej rzeczywistości politycznej wszystkim nam przyda się ćwiczenie z myślenia o tym, jak może wyglądać obywatelska wspólnota. Nie ma powodu, by była ona definiowana jedynie przez doraźną walkę o władzę w centrum. Pierwsze dwa kroki decentralizacji to sukces polskiej samorządności. Czas więc na trzeci, który odda samorządom realną oddolną sprawczość.

W książce „Umówmy się na Polskę” (redakcja „Res Publici Nowej” jest jej partnerem medialnym – przyp. red.) jej autorki i autorzy przedstawiają zdecentralizowane mechanizmy ustrojowe, a także nieodległą czasowo *political fiction*, jak mogą wyglądać tak zdecentralizowane województwa marzeń – od konserwatywnych po progresywne. Z kolei zaproponowane tu scenariusze dojścia do tej zmiany to również

zaproszenie, by wyjść poza zastygłe zero-jedynkowe schematy i poszerzać granice tego, co politycznie możliwe: jak w obecnych warunkach, z aktorami politycznymi takimi jakich mamy sprawić, by samorządowa Nowa Umowa mogła stać się rzeczywistością.

HELENA CHMIELEWSKA-SZLAJFER – socjolożka, adiunkt w Akademii Leona Koźmińskiego, Visiting Fellow w London School of Economics and Political Science. Autorka m.in. *Reshaping Poland's Community after Communism: Ordinary Celebrations* (Palgrave, 2019). Bada codzienne praktyki obywatelskie oraz politykę w nowych mediach, w tym w internetowych tabloidach w Polsce, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

WOJCIECH PRZYBYLSKI

DEMOKRACJA W POLSCE NIE UMRZE. JEŚLI ZDECENTRALIZUJEMY SYSTEM WŁADZY

Bez wątpienia najbliższe wybory zadecydują o przyszłości polskiej demokracji. W przypadku wygranej Prawa i Sprawiedliwości – obojętnie jakimi metodami – demokracji w Polsce nie będzie. Jeśli wygra opozycja – mamy szansę na odbudowę demokracji zdecentralizowanego systemu władzy.

Wiadomo do czego dąży Jarosław Kaczyński. Przywódca Zjednoczonej Prawicy uważa, że demokracja i rządy prawa w Polsce (i w Europie) już upadły. W grudniu 2022 r. ów pesymizm, opisał podczas przemówienia w Legnicy: „W kulturze jest próba generalnego odrzucenia europejskiej, a więc chrześcijańskiej tradycji. To jest próba narzucenia tego, co jest poprawnością polityczną i egzekwowania tego już metodami przymusu państwowego”. Doprowadziło to, jego zdaniem, do choroby, która opanowała dzisiaj Europę i w dużej mierze również USA i niektóre inne państwa. Jak zaznaczył Kaczyński, przed tą chorobą musimy się bronić. Takie poglądy miały w historii Zachodu czytelnie określoną i tragiczną w skutkach trajektorię.

Jedyne co pozostaje Kaczyńskiemu to dyktatura. „Kiedy legalność wystarcza dla zbawienia społeczeństwa, wtedy legalność; jeśli zaś nie starcza, wtedy dyktatura” – argumentował w połowie XIX wieku hiszpański polityk i myśliciel Juan Donoso Cortes. Skończyło się na dyktaturze generała Franco. Pół wieku później, Carl Schmidt, teoretyk państwa w nazistowskich Niemczech, wprost nawiązywał do Cortesa próbując udowodnić konieczność dyktatury przeciwstawionej słabej demokracji weimarskiej.

Teraz o słabościach demokracji mówi w Europie Kaczyński. Myli się, ale cóż z tego skoro ma władzę.

TRZEBA GŁOŚNO KRZYCZEĆ

Tylko Polacy, tłumnie okazując sprzeciw wobec takiego kierunku mają szansę odwrócić swój los. Donald Tusk wołał 4 czerwca do tłumu na placu Zamkowym: „Demokracja w Polsce nie umrze. Nie będzie ciszy, będziemy głośno krzyczeć”. Słusznie. Aby demokrację odbudować i w pełni rozwinąć potencjał Polski trzeba mieć silne przekonanie, że zwarcie szeregów i scentralizowanie obrony przed dyktaturą PiS-u posłuży w dalszej perspektywie mądrej decentralizacji władzy w państwie.

W tym roku metody walki wyborczej ze Zjednoczoną Prawicą skonsolidują szeregi opozycji. Kiedy dojdzie do zmiany rządów, nastąpi co najmniej dwuletni okres kohabitacji. Wówczas prezydent i premier będą działać nadal w warunkach bardzo agresywnej polaryzacji, która wzmaga tendencje centralizacyjne. Politykę łatwo im będzie potraktować jako przedłużenie wojny, która toczy się pomiędzy dwoma obozami. Analogia ta jest tu o tyle przydatna, że współczesne wojny – w tym ta w Ukrainie – pokazują, że najskuteczniejsze są zdecentralizowane działania. Takie, w których sprawczość mają skoordynowane w centrum na poziomie strategicznym działania jednostek. Taki jest też pomysł na decentralizację państwa, który zaprezentowaliśmy w książce *Umówmy się na Polskę*.

SILNA POLSKA POTRZEBUJE DECENTRALIZACJI

To oczywiste, że celowa i sztucznie zmanipulowana polaryzacja polityczna niesie dla Polski egzystencjalne zagrożenie. Mimo świetnej tradycji samorządowej, walka o władzę toczy się dziś przede wszystkim na szczeblu centralnym. W efekcie cała władza skupia się w Warszawie, a powinna być w Polsce – blisko ludzi, szczególnie w tych aspektach, w których rząd nie musi i nie powinien się wtrącać.

Są oczywiście dziedziny, które wymagają silnego centrum. Status Polski, z racji jej położenia zależy od skutecznej dyplomacji i obronności. Mamy szczęście, że w ciągu

ostatnich 30 lat osiągnęliśmy w tym zakresie więcej niż kiedykolwiek w historii i zdołaliśmy umocować się w systemie europejskim i transatlantyckim. Jednak wiemy jak dziurawe jest polskie niebo, mimo szumnych zapowiedzi o zakupach, które po ośmiu latach rządów PiS realizowane są dopiero teraz. Wiemy też, do jakich upokorzeń międzynarodowych i dyplomatycznych interwencji doprowadził w ostatnich latach ten sam rząd. Na nieszczęście, trwa bezwzględna wojna o dominację nad centrum władzy w Polsce, której przewodzi Jarosław Kaczyński.

Koncepcja zdecentralizowania władzy uwzględnia realia geografii wyborczej ostatnich 30 lat. W niektórych regionach Polski zawsze wygrywają siły konserwatywne, a w innych – progresywne. Tak zapewne będzie zawsze, bo tak jest w każdym kraju poza tymi, które przeszły krwawe rewolucje i okresy dyktatury. Najlepszym pomysłem jest więc adaptacja systemu władzy w Polsce do modeli sprawdzonych u nas w kraju i ramach własnych (podkreślmy) mechanizmów władzy na szczeblu europejskim. Stąd propozycje decentralizacji wielu kompetencji w gestii rządu do szczebla wojewódzkiego, a zarazem wprowadzenie mechanizmów centralnej koordynacji między województwami – tak jak w Radzie Europejskiej – by państwo jako całość zachowało spójność. To decentralizacja, a nie federalizacja. Nikt rozsądny nie twierdzi przecież, że Unia jest albo nawet mogłaby się stać federacją.

Przed Polską jeszcze wiele globalnych wyzwań: po trzydziestoletnim okresie względnego pokoju, ryzyko wojen, walki o zasoby i dominację, a także zapewne kolejnych pandemii. Jaka władza poprawi nasze bezpieczeństwo? Dyktatura centrum, która sama się wykarmi? W żadnym razie. Sens ma tylko mądra decentralizacja. Taka, która pozostawi strategiczne decyzje na poziomie centralnym, a uwolni Polaków od chorych pomysłów na nieetyczną i co ważniejsze nieefektywną dominację.

WOJCIECH PRZYBYLSKI – redaktor naczelny „Visegrad Insight”.

Analitik kierujący prognozami politycznymi w sprawach europejskich. Zajmuje się sprawami polityki zagranicznej i kultury politycznej. Prezes Fundacji Res Publica. Stypendysta Europe’s Future w IWM – Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu i Fundacji Erste.

KRZYSZTOF PACEWICZ

DEMONKRACJA

Demokracja po usunięciu „demosu” zmienia się w „demonkrację” – rządy demonów, strachu, chaosu, mgły i brzóz podcinających skrzydła.

Cóż za dziejowy niefart: wyobraźnię polskiej klasy politycznej ukształtowała zimnowojenna opozycja Wschodu i Zachodu. Wydawało się, że ten podstawowy podział świata (oraz pechowe przyporządkowanie Polski do gorszego z dwóch obozów) będzie trwał wiecznie. Kiedy więc niespodziewanie Wschód „implodował”, o Zachodzie – do którego mieliśmy nagle dołączyć – nie wiedzieliśmy prawie nic. Z oddali jawił się nam jako niezróżnicowana pozytywność, a jego trzy konstytutywne elementy – demokracja, liberalizm i kapitalizm – jako synonimy.

Co gorsza, stare powstańcze nostalgiczne i klimat narodowej ugody (którego komicznym ucieleśnieniem był Bronisław „Zgoda Buduje” Komorowski) skutecznie uniemożliwiały spór o kształt polskiego ustroju i debatę o proporcje pomiędzy jego składowymi. Wydawało się, że istnieje jeden spójny demo-libe-kapitalistyczny model, a naszym celem jest dołączenie do niego – za wszelką cenę, nawet po trupach.

KAPITALIZM, LIBERALIZM, DEMOKRACJA

Dopiero niedawno odkryliśmy to, co na Zachodzie wiedziano od dekad – że połączenie pomiędzy demokracją, liberalizmem i kapitalizmem jest kruche, pełne napięć i historycznie dość przypadkowe oraz występuje w nieskończonej liczbie wariantów i przeróżnych proporcjach. Trzej główni aktorzy tego politycznego dramatu – demokratyczne masy, liberalne społeczeństwo obywatelskie i kapitalistyczne rynki – znajdują się w stanie ciągłej wojny o wpływy i tylko okresowo wchodzą ze sobą w sojusze.

Przywykliśmy sądzić, że społeczeństwo obywatelskie i demokracja to dwie strony tego samego medalu. Tymczasem w istocie są to dwie zupełnie różne formy publicznej partycypacji w rządzeniu: społeczeństwo obywatelskie – sieć wyspecjalizowanych instytucji i profesjonalnych działaczy, wyklucza bezpośredni udział szerokich mas we władzy. Oczywiście w dobrze działających demokracjach liberalnych pomiędzy instytucjami społeczeństwa obywatelskiego i masami istnieje daleko posunięta współpraca. Niestety nie jest to przypadek naszego państwa.

W 1989 r., w momencie rozpoczęcia demo-libe-kapitalistycznych zawodów, siły były bardzo nierówne. Rynki zagraniczne posiadały gigantyczny kapitał, know-how i ogromną przewagę; społeczeństwo obywatelskie – z jednej strony skorumpowane elity PRL-u, ale z drugiej prężną opozycję i dobre wzory do naśladowania; masy natomiast, po upokorzeniu i politycznej kastracji „Solidarności” w pierwszych latach III RP, nie posiadały już prawie nic poza głodową rentą i urażoną godnością.

Nic więc dziwnego, że zbudowaliśmy świetny kapitalizm, jako-taki liberalizm i nędzną demokrację. Mamy największy i jeden z najprężniejszych rynków w Europie Środkowo-Wschodniej; jako-tako funkcjonujące instytucje społeczeństwa obywatelskiego – NGO-sy, media, ciała w rodzaju Trybunału Konstytucyjnego i Rzecznika Praw Obywatelskich – oraz nędzny porządek demokratyczny, obfitujący w populizm i żenujące spektakle partyjne. Obok beznadziejnie niskiej frekwencji wyborczej charakteryzuje go również zupełny brak masowych partii – PO nigdy nie przekroczyła liczby 50 tys. członków, a PiS nawet 30 tys.! Obie te partyjki mają wspólnie mniej niż jeden procent członków „Solidarności” w 1980 r.

Smutnym korelatem wątpliwości polskiej demokracji jest niechęć – a czasami nawet i pogarda – jaką przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego żywili i żywią wobec resztek masowych fenomenów w Polsce: począwszy od (kulejących) związków zawodowych, poprzez Kościół, kibiców piłkarskich, protestujących górników, pielęgniarzy, na ruchach emerytów i rencistów skończywszy. Te kalekie i ubogie formy masowej partycypacji w życiu publicznym zostały przez społeczeństwo obywatelskie uznane za przeszkody na drodze do budowy nowoczesnego państwa oraz napiętnowane za odstraszenie zagranicznych inwestorów.

Warto zauważyć, że sam termin „społeczeństwo obywatelskie” spopularyzowały w Polsce... władze reżimu komunistycznego, które w 1989 r., na łamach m.in. „Trybuny Ludu”, tak właśnie określały przywództwo drugiej „Solidarności”. Częściowo po to, by nie używać wobec swoich partnerów przy Okrągłym Stole terminu „opozycja”, częściowo zaś – by nie dopuścić do masowego odrodzenia się nastrojów pierwszej „Solidarności”, której hasłem nie było przecież liberalne społeczeństwo obywatelskie, lecz demokratyczna „samorządna Rzeczpospolita” (P. Załęski, *Neoliberalizm i społeczeństwo obywatelskie*, Toruń 2012). Jak dalej zauważa Paweł Załęski, „w ramach kompromisu Okrągłego Stołu zaoferowano społeczeństwo obywatelskie zamiast suwerennego, pełnoprawnego i demokratycznego społeczeństwa politycznego”.

W latach 90. polskie społeczeństwo obywatelskie mogło stać się przestrzenią mediacji między masami i rynkami, to jednak wymagałoby otwarcia się na rzeczywisty spór, dopuszczenia do artykulacji realnych antagonizmów. Zamiast tego (zgodnie zresztą z intencjami X Plenum KC PZPR z 1989 r.) przyjęto narrację o zgodzie-która-buduje, na każdym kroku utrudniając masom bezpośrednią partycypację w polityce i oddając rynkom pełną swobodę kształtowania porządku społeczno-ekonomicznego. Zbudowaliśmy państwo według przepisu: 60 proc. kapitalizmu, 30 proc. liberalizmu i 10 proc. demokracji. Niedawnym przykładem była reakcja mediów i komentatorów na program 500+; dominowały w niej głosy mówiące o marnowaniu publicznych pieniędzy, psuciu rynku, a nawet karmieniu patologii i alkoholizmu. Według Ryszarda Petru „pieniądze z podatku nie powinny iść na program 500 zł na dziecko, lecz raczej wzmocnić stabilność systemu bankowego”. Trudno o bardziej rażący przykład braku wrażliwości na główny problem, z którym borykają się polskie masy, czyli ciągle niedobór gotówki.

RZĄDY DEMONÓW

Oczywiście winne nędzy naszej demokracji są nie tylko rynki i społeczeństwo obywatelskie, winne są też same masy. Upokarzane przez dekady (albo i wieki) i pozbawione etosu zaangażowania, nauczone kategorycznie sprzeciwiać się władzy i nienawykłe do walki o swoje interesy, zniechęcone do wszelkiej aktywności zbiorowej i

fundamentalnie biernie sprowadziły swoją działalność polityczną do okazjonalnego uczestnictwa w populistycznym festiwalu wyborczym.

Masowa energia, która nie może wydostać się w formie erupcji pozytywności (konkretnych postulatów, walki o realne interesy), musi objawić się jako abstrakcyjna negatywność Thanatosa, którego lokalnym wcieleniem jest Jarosław Kaczyński. Społeczeństwo obywatelskie, które w klimacie zgody narodowej nie dopuszcza do publicznej artykulacji partykularnych interesów, samo kręci na sobie bat. Demokracja po usunięciu *demosu* zamienia się w *demonkrację* – rządy demonów, rządy strachu, chaosu i mgły, rządy masowych paranoi i brzóz podcinających skrzydła.

Ortega y Gasset w słynnym *Buncie mas* z 1930 r. nazwał ustrój, w którym masy rządzą z pominięciem społeczeństwa obywatelskiego, hiperdemokracją: „Obecnie jesteśmy świadkami triumfu hiperdemokracji, w ramach której masy działają bezpośrednio, nie zważając na normy prawne, za pomocą nacisku fizycznego i materialnego, narzucając wszystkim swoje aspiracje i upodobania”.

Dalsza część wydaje się dobrze opisywać obecną sytuację w polskiej polityce: „Współżyć z wrogiem! Rządzić, dopuszczając do głosu opozycję! Czyż taka słabość nie wydaje się już czymś zupełnie niezrozumiałym? (...) Jednorodna masa ciśnie na władzę publiczną, miażdżąc i zmiatając z powierzchni ziemi wszystkie grupy opozycyjne. Masa – któż by to pomyślał, mając przed oczami ów ciasno zbity tłum? – nie pragnie współżycia z nikim, kto do niej nie należy. Masa śmiertelnie nienawidzi wszystkiego, co nie jest nią samą”.

W czasach triumfu *demonkracji* warto sięgać do konserwatywnych autorów, ale nie po to, by im ufać, lecz by rozpoznać w ich myśli symptomy problemu. Ortega y Gasset w elitarystycznym duchu tęskni za czasami, gdy masy знаły swoje miejsce i nie pchały się do polityki, nie rozumiejąc zupełnie, że to właśnie brak form pozytywnej masowej partycypacji spowodował ich niszczycielski potop. Brutalny bunt mas jest ponurym rewersem elitarystycznego liberalizmu i dopóki polska klasa polityczna tego nie zrozumie, dopóty demony będą zbierać krwawe żniwo.

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE KONTRA MASY

Jednym z najbardziej szkodliwych elitarystycznych mitów panujących we współczesnej Polsce jest właśnie przekonanie, że lud, *demos*, może sprawować rządy tylko pod postacią społeczeństwa obywatelskiego, to znaczy w formie ustrukturyzowanych instytucji i organizacji z zastępami „profesjonalnych” działaczy, ekspertów od polityk publicznych, autorytetów, publicystów, filantropów itp. W istocie pomiędzy liberalnym społeczeństwem obywatelskim a demokratycznymi masami istnieje trwale i nieusuwalne napięcie – demokracja to bowiem nie państwo prawa plus TVN24, ale przewrotny i skandaliczny pomysł polegający na tym, że „rządzą ci, których cechuje tylko to, że nie mają żadnego tytułu do sprawowania władzy” (Jacques Ranciere, *Na brzegach politycznego*, Kraków 2008).

W demokracji nie ma więc nic naturalnego ani oczywistego i stanowi ona raczej horyzont polityki niż jej stabilną strukturę. Jej sercem jest paradoksalna operacja polegająca na przekształceniu „mas” – niejako z definicji wykluczonych z rządzenia – w lud (czy „naród” w sensie politycznym), czyli właściwego suwerena. Oczywiście operacja ta jest zawsze częściowa i zawsze pozostawia pewien naddatek, pewną dozę wykluczonej masy, która – jeśli nie zostanie włączona do *demosu* – może stać się demonem.

Spółeczeństwo obywatelskie III Rzeczypospolitej, wychowane w PRL-u, gdzie skorumpowane elity zarządzały masami w sposób zupełnie niedemokratyczny, owszem – zmieniły ideologię wschodnią na zachodnią i wytoczyły krucjatę przeciw korupcji, jednak nie porzuciły nieufnego stosunku do mas. Pomysł, że ci wykluczeni ludzie mieliby faktycznie brać udział w zarządzaniu Polską, że obrońcy krzyża, mohery, kibole i renciści mogliby np. piastować ważne urzędy lub współdecydować o polityce gospodarczej, wydaje się im absurdalny, „przecież oni nic nie wiedzą o ekonomii, myślą tylko o własnym interesie!”. Tym samym uniemożliwia się masom produktywną artykulację własnych żądań i potrzeb, dzięki której mogłyby działać politycznie, stać się *demosem*. Wyraźnym przykładem jest kuriozalna wrogość postsolidarnościowych elit wobec związków zawodowych. Oczywiście media i organizacje mogą w duchu pozytywistycznym działać „dla dobra” i „w imieniu” mas – ale tylko pod warunkiem, że

masy byłyby skłonne siedzieć cicho i biernie przyjmować plan powszechnej modernizacji w klimacie narodowej zgody.

Czy może dziwić, że zakneblowane masy wydały z siebie nieartykułowane wycie szaleńca?

FANTAZMAT UTRACONEJ CAŁOŚCI

Wspomniany Jacques Ranciere nazywa konserwatywną krytykę masowej demokracji „kontrrewolucyjnym fantazmatem utraconej całości”, jej cechą charakterystyczną jest właśnie zasada zgody-która-buduje: „podział, charakterystyczny dla demokratycznego ustroju, zazwyczaj był postrzegany w negatywnych kategoriach jako manifestacja rozdarcia, nieprawdy”.

Współczesnymi wyznawcami fantazmatu utraconej jedności w Polsce są z pewnością „liberalne” partie w rodzaju Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej, nawołujące do „porzucenia waśni” i wspólnego marszu ku lepszej przyszłości. Funkcją narracji modernizacyjnej jest eliminacja konfliktów z polityki. Gdy jednak konflikty zostają usunięte z jej wnętrza, masy tracą możliwość politycznej partycypacji i antagonizm odradza się na zewnątrz jako superkonflikt pomiędzy polityką a masą. Ranciere przestrzega: „Tam, gdzie głosi się zakończenie wojny bogatych z biednymi jako zasady społecznego podziału, pojawia się wykluczająca namiętność Jedności. Polityka staje wówczas twarzą w twarz z bardziej radykalnym rozdarciem, które nie bierze się ani z różnicy bogactwa, ani z walki o stanowiska, ale z pragnienia jedności, umacnianej jednoczącą siłą nienawiści”.

Powtórzmy to z całą mocą: energia, która nie może wydostać się w formie konkretnych pozytywności, musi objawić się jako abstrakcyjna negatywność. W takiej sytuacji polityka zamienia się w wojnę domową. Społeczeństwo obywatelskie ujednolica się wobec wspólnego wroga – masy (wraz z jej tanatycznym wodzem), konsolidując swoje szeregi i uszczelniając granice. Możliwość sporu i debaty zostaje zastąpiona retoryką militarną, eksponowana jest jedność postaw i dążenie do eliminacji zróżnicowania. Jednocześnie, poszukując sojuszników, społeczeństwo obywatelskie zacieśnia jeszcze swój romans z rynkami, czego przerażającym przykładem jest Ryszard Petru – na wskroś nowoczesny pół-człowiek, pół-korporacyjny-automaton.

Raz jeszcze oddajmy głos Ranciere'owi, którego słowa, dotyczące współczesnej Francji, pasują jak ulał do naszej nadwiślańskiej rzeczywistości: „Tam, gdzie polityka jest wzywana do dogonienia epoki, do porzucenia dogmatów i tabu, pojawia się coś zupełnie nieoczekiwanego: nie tryumf wyzbytej uprzedzeń nowoczesności, ale powrót archaizmu poprzedzającego wszelki osąd – powrót czystej nienawiści do innego. Partia *młodych i dynamicznych* doznała nareszcie olśnienia: dyskusja o bilansach i obietnicach, o programach i wieku kandydatów nie miała żadnego sensu. W dyskusji z człowiekiem świadomie i celowo ustawiającym się w pozycji ojca głupotą jest wytykanie mu starości. Wydaje się to oczywiste. Nie da się pokonać ojca w dyskursywnej rozgrywce. W takich sytuacjach najlepszym rozwiązaniem jest obranie ścieżki starej nienawiści, a nie nowego wyzwania. Na ulicach pojawi się wówczas mroczna sylwetka ojca, będącego człowiekiem do zlikwidowania”.

Powszechna fantazja o zlikwidowaniu Jarosława Kaczyńskiego nie jest zdrowym objawem obywatelskiego zaangażowania i troski o państwo prawa, lecz symptomem bagna, w jakie wdepnęliśmy. Czy z tej pułapki są jeszcze jakieś wyjścia? Czy jesteśmy skazani na rządy demonów?

JAK ZAUFAC MASOM?

Cóż, wydaje się, że wbrew praktyce III RP jedyną drogą do przezwyciężenia demonkracji jest ponowne włączenie konfliktów do wnętrza polityki. Aby było to możliwe, społeczeństwo obywatelskie musiałoby jednak zaufać masom i pozwolić na polityczną artykulację ich konkretnych interesów. To zaś wymagałoby wyjścia poza dotychczasowy horyzont polskiej sfery publicznej: być może to racje górników, a nie firm wydobywczych należy wziąć pod uwagę? Być może to potrzeby finansowe osób wychowujących dzieci, a nie banków powinny być naszym priorytetem? Być może nieufność wobec NSZZ „Solidarność” jest nieco przesadzona? Być może obraziliśmy się na masy psujące nasz idealny plan modernizacji, zamiast zaprosić je do okrągłego stołu, posłuchać ich i zacząć się spierać?

Demokracja opiera się na zaufaniu do politycznego przeciwnika. Oczywiście niełatwo zaufać mrocznemu Kaczyńskiemu, ale wcale nie znaczy to, że nie da się zaufać rzeszy jego wyborców – sfrustrowanym masom, którym odmówiono udziału w polityce

na pozytywne zasady i które w swojej desperacji zwróciły się do agenta chaosu przybranego w wigilijne ozdoby. Nie da się jednak ufać komuś, kogo się nienawidzi ani nie szanuje – warunkiem sukcesu polskiej demokracji jest więc nie tyle likwidacja prezesa rządzącej partii, co likwidacja pogardy dla mas, która toczy nas jak gangrena.

Jeśli my – szeroko pojęte społeczeństwo obywatelskie – nie nauczymy się ufać masom, nie zaczniemy rozmawiać z nimi jak z równymi, to nasze polityczne *inferno* nie będzie miało końca. Kolejne demoniczne inkarnacje Thanatosa przygotowują się, by przejąć rząd dusz, a alternatywą, jak na razie, jest wyłącznie hodowana na nienawiści do mas armia korporacyjnych automatów.

Aby przegnać rządzące nami demony, musimy nauczyć się porządnie klócić.

KRZYSZTOF PACEWICZ – dziennikarz, filozof, kulturoznawca. Autor książki *Fluks. Wspólnota płynów ustrojowych* (2017). Zajmuje się współczesną filozofią polityczną, teorią biopolityki i metafizyką życia.

Tekst ukazał się w „Res Publice” 16 lutego 2016 r.

IVÁN LÁSZLÓ NAGY

VIKTOR ORBÁN: JAK PRZEKUĆ KRYZYS POLITYCZNY W ZWYCIĘSTWO?

Podczas gdy na Węgrzech jakość życia stale się pogarsza, rządzący krajem Fidesz wciąż umacnia swoją pozycję. Premier wie, jak obrócić porażki na własną korzyść.

Ponieważ temperatury powietrza wzrosły tej wiosny do wartości znacznie powyżej 10 stopni Celsjusza, a stopa inflacji w końcu ustabilizowała się, choć wyniosła aż 25 proc., Viktor Orbán mógł po raz kolejny ogłosić zwycięstwo – tym razem nad kryzysem kosztów utrzymania, który nęka Węgry od miesięcy.

Mniej więcej latem ub. roku przez chwilę wydawało się, że jego trzynastoletnie rządy wreszcie słabną. Zdawać się mogło, że Węgry straciły wszystkich sojuszników w UE z powodu swojego niejednoznacznego stanowiska w sprawie Ukrainy. Jednocześnie jego sprawdzona doktryna polityczna polegająca na podsycaniu strachu i polaryzacji na scenie krajowej wydawała się bezsilna w radzeniu sobie z pogarszającym się poziomem życia i złym stanem gospodarki.

Wkrótce zaczęły się kłopoty. Zamrożenie rachunków dla gospodarstw domowych, którego Fidesz bronił od 2014 r., zostało zniesione, uderzając w rodziny już zmagające się z rosnącymi cenami detalicznymi. Narzucony przez rząd limit cen paliwa zniszczył małe stacje benzynowe, doprowadził do niedoborów w całym kraju i

musiał zostać zniesiony tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Negocjacje w sprawie wstrzymania funduszy unijnych ze względu na kwestie praworządności zakończyły się fiaskiem. Represyjne reformy doprowadziły do niepokojów wśród nauczycieli i lekarzy. Izolacja w związku z Ukrainą pogłębiła się, gdy Fidesz rozpoczął grę wokół opóźniania starań Finlandii i Szwecji o członkostwo w NATO.

W normalnych okolicznościach, każdy demokratyczny rząd odczułby ucisk. Ale nie rząd Orbána – notowania jego partii są stabilne. Wydarzenia te pokazują polityczny cykl, wzorzec, dzięki któremu premierowi udaje się przetrwać każdy kryzys.

POLITYKA TOŻSAMOŚCI, ZAWŁASZCZANIE PAŃSTWA

W 2010 r. Fidesz pokonał zdyskredytowany lewicowy rząd. Czas spędzony przez Orbána w opozycji przekonał go, że jeśli ma ponownie zdobyć władzę, będzie musiał przejąć kontrolę nad instytucjami państwowymi i skupić się na kwestiach, które wydawały się najważniejsze dla węgierskiego społeczeństwa, rozczarowanego ewolucją demokracji po 1989 r. Mowa o bezpieczeństwie, stabilności, tożsamości narodowej i dobrobycie gospodarczym. Wolność prasy, społeczeństwo obywatelskie, uczciwość i konkurencja jako czynniki napędzające gospodarkę rynkową były warte poświęcenia. Do 2018 r. przewaga Orbána w parlamencie umożliwiła całkowite przejęcie państwa i demontaż mechanizmów kontroli i równowagi charakterystyczne dla demokracji. Plan zadziałał z trzech powodów.

Po pierwsze: cykle wyborcze 2010–2014 i 2014–2018 zbiegły się ze względnym dobrobytem dzięki łagodnemu zewnętrznemu otoczeniu gospodarczemu, pozwalając Orbánowi twierdzić, że to jego metoda zadziałała po latach niestabilności gospodarczej pod rządami jego poprzedników.

Po drugie, Węgrzy nie musieli faktycznie czuć się lepiej z powodu tego, jak się sprawy mają – dla Orbána musieli tylko w to wierzyć. Dlatego też pierwsze dwa cykle wyborcze przyniosły również budowę dobrze znanej, kremłowskiej maszyny propagandowej.

Dzięki państwowym radiu i telewizji, mediom regionalnym oraz dużej części cyfrowych i drukowanych (np. Origo, najczęściej odwiedzany internetowy serwis informacyjny), reżim odpowiedział na wszystkie pytania wyborców, zanim jeszcze je

zadali. W dobrych czasach pławili się w chwale swojego „państwa opiekuńczego” z tanią energią i programami wsparcia dla rodzin.

Kiedy zbliżały się wybory lub pojawiały się wyzwania na scenie UE, Orbán i Fidesz grali kartą tożsamości. Oparli się na sieci ksenofobicznych tropów i podsycania strachu, w ramach których (urodzony na Węgrzech) filantrop George Soros, Unia Europejska, węgierska opozycja, „zagraniczne organizacje pozarządowe” i muzułmańscy uchodźcy – wszyscy razem jako „wrogowie”, oskarżeni zostali o spiskowanie w celu zniszczenia Węgier. Opozycja nie miała sposobu na walkę z wszechogarniającą machiną propagandową wspieraną przez praktycznie nieograniczone fundusze państwa, a także oligarchiczne interesy biznesowe powiązane z Orbánem i jego rodziną.

ROZPROSZENIE UWAGI

Podczas gdy pierwsze dwa cykle wyborcze systemu współpracy narodowej, jak określa go Orbán, minęły we względnym dobrobycie, sytuacja od 2018 r. to już presja na rząd. Napięcia z partnerami UE związane z otwartą wrogością Orbána wobec Zachodu, obawy o sprzeniewierzenie funduszy UE i otwarty zwrot w kierunku rządów autorytarnych wywołały postępowanie przeciwko Węgom na podstawie art. 7. Traktatu o Unii Europejskiej. Zdolność Orbána do udobruchania swoich unijnych odpowiedników wyczerpała się i ostatecznie został on zmuszony do opuszczenia Europejskiej Partii Ludowej, centroprawicowej rodziny partii, która dominuje w Parlamencie Europejskim.

Innym przykładem jest postępowanie podczas pandemii COVID-19. Kiedy ograniczenia dotyczące pandemii zostały zniesione latem 2021 r., parlament uchwalił tak zwaną ustawę o ochronie dzieci, która od tego czasu jest powszechnie znana jako węgierska ustawa anty-LGBTIQ+ lub „homofobiczna” – obecnie kwestionowana na szczeblu Unii. Tożsamościowa i kulturowa wojna między zwolennikami Fideszu a protestującą opozycją odwróciła uwagę opinii publicznej od wpływu COVID-19 na śmiertelność i rosnącej dysfunkcyjności węgierskiego systemu opieki zdrowotnej.

Z kolei kiedy protesty nauczycieli zakłóciły kampanię wyborczą w 2022 r., rząd zakazał im strajku i twierdził, że opozycja miała na nich wpływ polityczny. Kiedy

protesty znów wybuchły we wrześniu, rząd odpowiedział zwolnieniem niektórych protestujących nauczycieli i obiecał podnieść płace w edukacji po rozstrzygnięciu debaty na temat funduszy unijnych. Kiedy w grudniu stało się jasne, że te pozostaną zamrożone, a rząd nie spełni swojej obietnicy, minister spraw wewnętrznych Sándor Pintér pozwolił na zwolnienie kolejnych ośmiu nauczycieli, wywołując nową falę protestów i odwracając uwagę od niepowodzenia w zapewnieniu bardzo potrzebnych funduszy.

POLOWANIE NA WROGÓW

Choć może się to wydawać zaskakujące, rząd nigdy nie zamierzał rozwiązywać problemów w edukacji. Wręcz przeciwnie, jego podejście polega na ciągłym denerwowaniu nauczycieli, uczniów i rodziców, aby przedstawić ich jako wicherzycieli i odwrócić uwagę sympatyków rządu od narastających trudności gospodarczych.

To kolejna metoda utrzymywania kontroli nad krajem. Rząd stara się, by tylko jedna grupa społeczna była wściekła w danym momencie, zapewniając, że niezadowolone grupy nie zjednoczą się, potencjalnie przekształcając protesty w poważne wyzwanie. Za każdym razem, gdy celują w daną grupę, upewniają się, że każda z nich ma konkretne, pojedyncze skargi – podatki w przypadku osób samozatrudnionych, prawa człowieka w przypadku osób LGBTIQ+ oraz płace i wydatki na edukację dla nauczycieli.

Niezdolność opozycji politycznej i społeczeństwa obywatelskiego do zjednoczenia wszystkich takich grup pod jednym sztandarem jest jednym z kluczowych powodów, dla których metoda Orbána działa. Miliony ludzi są w taki czy inny sposób zależne od coraz bardziej autorytarnego państwa, a nawet ci, którzy nie pracują dla żadnego podmiotu powiązanego z rządem, czują się zagrożeni utratą pracy za udział w protestach politycznych. Co więcej, propaganda państwowa albo nie relacjonuje protestów, albo relacjonuje je tylko w negatywnym świetle, co stanowi kolejną przeszkodę w mobilizacji.

Ta sama trudna sytuacja dotyka opozycję. W hybrydowym reżimie opozycja odgrywa symboliczną rolę – pozwala się jej funkcjonować, aby legitymizować fasadę demokracji, ale jej władza jest instytucjonalnie ograniczona. Ordynacja wyborcza

faworyzuje Fidesz, partia rządząca wykorzystuje fundusze państwowe na kampanie polityczne, a państwowa machina propagandowa działa z dnia na dzień, aby oczernić wszystkie inne partie i polityków.

Opozycja musiałaby działać bezbłędnie, aby mieć jakiegokolwiek szanse – problem w tym, że nigdzie nie widać takiego działania. Zarówno starsze partie, jak i te, które pojawiły się podczas rządów Fideszu, tworzą jeden wielki bałagan. Sytuację pogarsza egocentryzm: partie walczą o przetrwanie działając przeciwko sobie nawzajem zamiast zjednoczyć wysiłki przeciwko Fideszowi.

Nawet gdyby miliony protestowały przeciwko Orbánowi, nie miałyby żadnej wiarygodnej alternatywy, na którą mogłyby zagłosować w dniu wyborów. I w tym miejscu cykl Orbána kończy się i zaczyna od nowa. Bez jakiegokolwiek presji politycznej lub obywatelskiej Węgry mogą działać dokładnie tak, jak chce tego Viktor Orbán.

Jednak bez konkurencji i z fatalnymi osiągnięciami w rozwiązywaniu kryzysów, reżim Orbána będzie nadal popełniał kosztowne błędy, zwłaszcza na arenie międzynarodowej. Dziś wydaje się jednak, że bez względu na to, co Orbán robi poza granicami, ma strategię pozwalającą uniknąć jakichkolwiek wewnętrznych reperkusji.

CZY JEST JAKIEŚ WYJŚCIE?

Jest, ale będzie to wymagało albo cudu, albo pełnej katastrofy na Węgrzech. Pierwsza opcja: rząd, pod presją, moderuje swoją politykę, przywraca kontrolę i równowagę, rozwiązuje problemy w sposób przejrzysty i przestaje podsycać wewnętrzne konflikty. Ekscytująca fantazja, ale bardzo mało prawdopodobna.

W bardziej realistycznym scenariuszu, społeczeństwo obywatelskie i opozycja znajdują wspólną płaszczyznę i apelują o bardziej zdecydowane stanowisko i wpływanie na opinię publiczną. Węgrzy muszą zrozumieć, że wszelkie przyszłe protesty nie dotyczą tej czy innej grupy interesu, ale są ogólnie antyrządowe. Kolejnym niezbędnym warunkiem jest to, aby opozycja była w stanie dać nadzieję. W zdrowej demokracji partie i wyborcy żyją w symbiozie, przy czym te pierwsze zapewniają bazę instytucjonalną, pieniądze i organizację działań, a te drugie bazę ludzką na ulicach i w kabinach wyborczych.

Jednak zeszłoroczne wybory pokazały nie tylko siłę Fideszu, ale także ostateczny brak zaufania do ugruntowanych partii opozycyjnych, co doprowadziło do ich najgorszego jak dotąd wyniku przeciwko Orbánowi. Opozycja musi uporządkować swoje wewnętrzne spory i przekonać ludzi, że jest zjednoczona w dążeniu do obalenia reżimu. Jeśli im się to nie uda, Węgry mogą przygotować się na co najmniej kolejną dekadę rządów Orbána.

W tej chwili nic nie wskazuje na to, by było inaczej. Dokładnie rok po wyborach w 2022 r., na początku kwietnia, rozmawiałem na temat Fideszu z Endre Hannem, dyrektorem generalnym najbardziej wiarygodnej węgierskiej firmy sondażowej Medián.

Według jej danych, podczas gdy poparcie dla Fideszu spadło w miesiącach zimowych do około 35 proc. (z 39 proc. w październiku), wyborcy nie przeszli na stronę opozycji. A gdy nadeszła wiosna i inflacja ustabilizowała się, poparcie dla Fideszu zaczęło ponownie rosnąć. Jak wyjaśnia Hann, Orbán celowo przewidział na zimę katastrofy, które nigdy nie nadeszły, aby propaganda mogła twierdzić, że rząd chronił przed nimi ludzi. To sprawia, że rywale Orbána są w trudnej sytuacji: Tylko Koalicja Demokratyczna (lewica skoncentrowana na Europie) i Momentum (młodzi liberalowie) mogą liczyć na poparcie powyżej 10 proc., podczas gdy Polityka Może Być Inna (LMP, zieloni), Dialog (Párbeszéd, również zieloni), Jobbik (niegdyś ultrapravicowy) i MSZP (socjaldemokraci) oscylują wokół 5 proc. Hann twierdzi, że przyszłoroczne wybory europejskie pokażą, które z tych ugrupowań zostanie zmuszone przez wyborców do „zamknięcia okiennic”.

W tym samym tygodniu zaprosiłem również trzech prominentnych polityków: Annę Orosz z Momentum, Pétera Ungára z LMP i Olivio Kocsis-Cake’a z DC do rozmowy o przyszłości opozycji. Ich dyskusja potwierdziła to, co sugerowały sondaże Hanna: nadal nie mają jasnej strategii współpracy. Oczekują, że Fidesz przegra następne wybory z powodu zewnętrznej presji ze strony Unii, co jak na razie okazało się złudnym i błędnym podejściem.

Jeśli polityka wewnętrzna pozostanie w impasie, jedynym sposobem na zakończenie autokratycznego zwrotu jest poważny kryzys: gospodarczy lub finansowy w związku ze stagnacją gospodarki, rosnącym zadłużeniem i spadającym poziomem życia lub jeśli Orbán zdecyduje się przekształcić spór z UE w dążenie do Huxitu.

Pod koniec 2022 r. poparcie dla członkostwa w UE pozostaje wysokie, na poziomie 64 proc. wśród wyborców Fideszu i 78 proc. w całej populacji. To, zdaniem Endre Hanna, sprawia, że referendum w sprawie wyjścia z UE jest mało prawdopodobne w najbliższej przyszłości.

Ale jeśli Orbán zdecyduje, że osiągnął punkt bez powrotu w swoich stosunkach z UE w związku z zamrożonymi funduszami i wpływami politycznymi, może ponownie wykorzystać swoją technologię „pętli zagłady”, aby zrzucić winę na Unię. Może próbować przekonać obywateli, że silne więzi z Rosją i Chinami będą wystarczającym substytutem utraty dostępu do jednolitego rynku.

Już teraz międzynarodowa izolacja Orbána wywołała na Węgrzech największe fale antyunijnej i antyzachodniej propagandy. Bez względu na to, jak zakończy się wojna, pozycja Węgier będzie nadal słabnąć, albo jako jedyne go sojusznika Rosji, albo jedyne go kraju, który nie popiera Ukrainy. Jeśli Orbán był w stanie przekonać Węgrów, że George Soros spiskuje, by ich zniszczyć, osoby LGBTIQ+ polują na ich dzieci, a Putin jest przyjacielem narodu, to nic nie wskazuje na to, by nie był w stanie wyperswadować im, że członkostwo w UE jest dla nich złe. W obliczu ciągłych problemów z Węgrami, UE może nie sprzeciwiać się zbyt łatwo Huxitowi.

Na razie to tylko spekulacje. Ale bez alternatywy i społecznego pragnienia zmian, Węgry zmierzają ścieżką, na której ich autorytarny reżim może upaść tylko wtedy, gdy pociągnie za sobą cały kraj.

IVÁN LÁSZLÓ NAGY – stypendysta programu Marcina Króla, dziennikarz polityczny młodego pokolenia. Pisze do niezależnego węgierskiego serwisu informacyjnego hvg.hu. Prowadzi badania naukowe nad technikami komunikacji populistycznych reżimów.

Artykuł ukazał się 25 kwietnia 2023 r. w [Visegrad Insight](#).

REDAKTOR NACZELNY	Tomasz Kasprowicz
REDAKTOR PROWADZĄCA	Dominika Rafalska
REDAKCJA	Dominika Rafalska (wywiady), Spasimir Domaradzki (sprawy międzynarodowe), Galan Dall (Visegrad Insight), Magdalena Jakubowska (#WomenAreNATO), Tomasz Kasprowicz (ekonomia), Adam Jasser (Visegrad Insight), Wojciech Przybylski (Europa), Michał Szkaradek (prawo)
REDAKCJA JĘZYKOWA, KOREKTA FOT. NA OKŁADCE	Dominka Rafalska Canva PRO.
WYDAWCA	Fundacja Res Publica im. H. Krzeczковского "Res Publica Nowa" ul. Gałczyńskiego 5 00-362 Warszawa, tel.: +48 22 692 47 84, e-mail: redakcja@res.publica.pl facebook: Res Publica Nowa twitter: @respublicanowa www.publica.pl

WSPIERAJ RES PUBLIKĘ:

- PRZEKAZUJĄC STAŁĄ LUB JEDNORAZOWĄ DAROWIZNĘ NA KONTO:
59 2490 0005 0000 4520 7698 5723
- KUPUJĄC PUBLIKACJE W NASZEJ KSIĘGARNI – WWW.PUBLICA.PL/SKLEP

respublica
DAJE DO MYŚLENIA